

ZOFII KUCÓWNY zatrzymanie czasu

Spotkanie po latach

Na małej scenie Teatru Powszechnego w Warszawie premiera „Miłości i gniewu” Osborne’a, dyplomowego przedstawienia studentów PWST.

Usiadłam na samym skraju trzeciego rzędu. Zawsze staram się siadać z boku, nigdy w środku rzędu, ponieważ zamknięcie ludźmi z jednej i drugiej strony powoduje u mnie rodzaj małej klaustrofobii. W tłumie lubię mieć komfort swobodnego, w razie czego, poruszania się.

Na sali sami moi. Koledzy aktorzy, studenci, rodziny. Wszyscy witają się ze wszystkimi, podejmują rozmowy. Zwykły szumny gwar widowni, który tak lubię.

W drugim rzędzie rektor, dziekani, profesorowie dostojną palisadą odgradzają wyciemnioną scenę od reszty sali. Nastrój życzliwości, przesycony podnieceniem przed mającym spełnić się bożym chrztem naszych pupilów. Jest telewizja. Janusz Leśniewski z Kuriera Warszawskiego, z kamerą i całą ekipą.

Dobrze mi, miło mi, bezpiecznie. Ciągłe podnoszę powitalnym gestem rękę, uśmiecham się, przesyłam pocałunki.

Rzucam parę szybkich spojrzeń na cichą, ciemną scenę. W mroku majaczy jakiś stół, dwa fotele, parę nie do odczytania w mroku sprzętów. Wracam oczami na salę. Tu jest na razie ciekawiej.

Podobają mi się kumpelki i kumple artystów. Ścisną w garściach bukiety kwiatów. Nic to, że powiedną i oklapną przez czas trwania spektaklu. Nie o to chodzi. One mają stać się wyrazem solidarności i lojalności, dobrymi życzeniami na przyszłość, spolegliwą wróżbą na zaś. Młodzi i ładni. Wszyscy ciągle jeszcze stanowią jedność, zespół, klan. Za parę miesięcy każdy z nich będzie przedzierał się przez życie samotnie, w pojedynkę, bez zaplecza wspólnej czteroletniej pracy i profesorskiej opieki. Ilu z nich utrzyma się na powierzchni, a ilu utonie? Sprawa nie do przewidzenia. Zawsze zagadka.

Światła zaczynają gasnąć, rozmowy milknąć, rozjaśnia się scena. Zwykle, ubogie wnętrze londyńskiego pokoju „do wynajęcia”. Stół, po obydwu jego stronach fotele, z tyłu deska do prasowania i trójka aktorów. Dwaj mężczyźni siedzą w fotelach i czytają gazety, przy desce do prasowania dziewczyna prasuje męskie koszule. Ze sceny spływa prowokujący chichot. To jeden z chłopców. Chichocze, szeleści nieznośnie gazetą, wstaje z fotela, zaczepia drugiego i bardzo chce się z nim pokłócić.

A mnie ogarnia dziwny niepokój. Moje poczucie bezpieczeństwa zostaje nagle zburzone. Nie, nie z powodu akcji, nie z powodu sytuacji, którą stwarza postać sceniczna. Moja cała uwaga skupia się na fotelu, z którego przed chwilą wstał aktor. Fotel wyraźnie mruga w moim kierunku i uśmiecha się krzywymi sprężynami. Stary, skórzany „klub”, pomalowany na zielono, z lizajem przetartej farby, spod której świeci odleżynami zniszczona cieleca, brązowa skóra. Wydaje mi się znajomy. Dziwnie bliski.

I olśnienie!!!

Ja ten fotel świetnie znam. Kiedyś należał do mojego życia, na równi z dwoma takimi samymi innymi, na równi z żelaznym łóżkiem zastrawianym białą, płócienną pościelą, na równi z nędznym słomianym wyrkiem, na równi z labiryntem drewnianych schodów i podestów na horyzoncie dużej sceny Teatru Powszechnego, która przed laty była moją sceną. Fotele pomalował na zielony kolor Krzysztof Pankiewicz. Stały w petersburskim mieszkaniu Porfiriego. Na drewnianym wyrku pod prawą kulisą mieszkał Raskolnikow, pod lewą, na proscenium, na żelaznym łóżku – ja.



Nagle spada na mnie tamten czas, tamte emocje, tamten trud, tanta męka premiery „Zbrodni i kary” granej w kwietniowy wieczór przy nabitej, zakorkowanej publicznością sali. Tamten smak słonego potu spływającego cienkimi strużkami po twarzy i plecach, tamten duszący zapach prószonego zieloną farbą kostiumu Soni Marmieladowej, tamto nerwowe napięcie wymagające nadrealnego wysiłku i skupienia graniczącego z obłędem, a przede wszystkim tamto rozkoszą przenikające uczucie zwycięstwa. Boskiego triumfu.

Przed moimi oczami snuje się akcja w londyńskim pokoju „do wynajęcia”, a ja słyszę przeraźliwy dźwięk wibrafonu, wysoki, spiczasty, wbijający się w ucho jak ostra, stalowa igła, widzę rozszarpaną smugę światła, w której dokonuje się na czerepie grubej staruchy mord, przypominam monotony plusk wody w żelaznym wiadrze zmywającej zakrwawioną siekiere, oglądam śmiertelną walkę Raskolnikowa z Porfirym i z pamięci wypluwa jedyna zapamiętana z całej roli kwestia nieletniej prostytutki z petersburskich zaułków, Soni:

– A czymże bym ja była bez Boga? – jak fraza z piosenki.

Poczułam wzruszenie i przede wszystkim zdumienie, że ciało tak długo pamięta. Że tak trwale zapisuje zmysłami jego tkanki, nerwy, naczynia. Pytana o tamten czas, czas Soni Marmieladowej, niezmiennie odpowiadam:

– Może był. To tak dawno, że może go w ogóle nie było?

A wystarczy wytaszczyć z teatralnej rekwizytorni zielony fotel i ciało zaczęło gadać. I to gadać tak wyraziście, że nie sposób go uciszyć. Aż boli od tej roznieconej w nim pamięci. Wrażenie wynurzania się z pozornie spopielałej przeszłości towarzyszy mi przez cały czas trwania spektaklu.

Wracałam do domu z panią profesor Reną Tomaszewską. Zupełnie przytomnie i dorzecznie rozmawiałam z nią o przedstawieniu. Okazało się, że mimo dolegliwych asocjacji związanych z fotelom, moja percepcja działała bez zarzutu. Odnotowałam prawidłowo wszystkie zalety spektaklu i podobnie jak pani Rena, wysoko oceniam młodych artystów. Lecz muszę przyznać szczerze, przepraszając wszystkich zainteresowanych, że największą przyjemność sprawiło mi spotkanie ze starym znajomym fotelom, przemalowanym przez Krzyśka Pankiewicza na szpinakowy kolor, trzydzieści trzy lata temu.

Może miał wtedy trochę mniej lizajów, ale w gruncie rzeczy niewiele się zmienił. I to jakby utwierdziło mnie w radosnym przeświadczeniu, że mój świat ciągle jeszcze trwa, choć wszystkie jego zdarzenia pamiętam już tylko ja.

A swoją drogą w młodzieńczej obsadzie „Miłości i gniewu” znalazłam dwie osoby, mogące idealnie spełnić warunki obsadowe „Zbrodni i kary”.

Fot. archiwum autorki